

BIŚCZCZ

PISMO TYGODNIOWE.

Nr 6.

Rok 1922. WARSZAWA, 4 Lutego

Rok LV

† OJCIEC Św. BENEDYKT XV.

Pontyfikat Benedykta XV przypada na bardzo ciężkie czasy walk bratobójczych pomiędzy ludami chrześcijańskimi, zatem chyba świetnym na zewnątrz być nie mógł. Wielka wojna tak zajmowała wszystkich, że mało zwracano uwagi na więźnia Watykańskiego. Po świetnych rządach Leona XIII, wielkiego męża stanu, genialnego twórcy zasad i podstaw chrześcijańskiej republiki, który swym orlim wzrokiem widział na 30 lat naprzód staczenie się Europy do przepaści, z powodu krzyczących niesprawiedliwości wobec klas pracujących, ucisku, wpływającego z doktryn liberalizmu, wolnej konkurencji, niepodzielnego panowania kapitału, hasła siły przed prawem, z czego się wytwarzało zarzewie konfliktów, podniecane przez materjalizm i odwrócenie się narodów od ideałów wiary. Leon XIII wskazał źródła złego, podał środki naprawy w swoich wielkich encyklikach o kwestji robotniczej, o państwie i rodzinie, o małżeństwie etc. Leon XIII owemi wiekopomnymi encyklikami okrył blaskiem Stolicę Apostolską; sędziwa i pełna majestatu postać jeszcze dzisiaj żyje w naszej pamięci. Po nim przyszedł pokorny, pełen prostoty i świętości ewangelicznej pasterz Pius X, który wierny swojemu hasłu „instaurare omnia in Christo“, stał się odnowicielem życia wewnętrznego Kościoła, duchem swoim apostołskim pogromił herezję modernizmu, pragnącą hasła materjalistycznego poglądu na świat przemycić pod pokrywką nowej apologetyki do wnętrza Kościoła, — rozbudził ducha świętości chrześcijańskiej w duchowieństwie, rodzinie i społeczeństwie katolickim. Zdawało się, że wśród takich dwóch postaci zniknie postać Benedykta XV. Z powierzchowności niepokazny, wątłego bardzo zdrowia, nie odgrywający nigdy przedtem żadnej samodzielnej roli, bo jako podsekretarz Stanu nikał w cieniu wielkiej i genialnej postaci swego mistrza Card. Rampolli, potem przez lata długie oddany cichej pracy pasterskiej

w swej djecezji Bolonji, dopiero na 3 miesiące przed swą elekcją na Papieża ozdobiony purpurą, wśród wojny wybrany nie zarysował się w naszej wyobraźni, tak silnie, jak wielcy jego poprzednicy. Jednak mimo tych trudności wybitna jego indywidualność zdołała mu wyrobić miejsce w szeregu Papieży najzasłużeńszych. Wśród katalizmu wojennego nie tylko mądrze strował nawą Kościoła, ale zdołał Mu zdobyć znaczenie niebywałe, czego skutki okażą się później, a owoce ich zbierać będzie zapewne jego bezpośredni już następca. Był Papieżem pokoju. Już w pierwszej swej encyklice nawołuje ludy do pokoju, a pomijając bezpośrednie powody wojny, wylicza istotne jej przyczyny: materjalizm, niesprawiedliwości społeczne i polityczne, zapomnienie o Bogu i ideałach wiary. Jego głos nawołujący do pokoju odzywa się stale; w rocznicę wybuchu wojny z wiarą proroka nawołuje do opamiętania. Podaje nieodzowne warunki pokoju w swej nocie do monarchów i panujących świata, wskazując między innymi na konieczność odbudowania Belgji, Polski i Armenji. Kiedy ten głos okazał się głosem wołającego na puszczy, idzie jako pasterz między dzieci i goi rany zadane wojną, opiekuje się jeńcami, zyskuje wymianę jeńców nieuleczalnie chorych, albo niezdolnych z powodu kalectwa do walki, piętnuje okrucieństwa walk powietrznych, łagodzi je swą interwencją. Hojnymi jałmużnami wspiera miliony biednych, sieroty po poległych, nawołuje o zajęcie się losem nieszczęśliwych w Belgji i Polsce. Uzyskuje zawieszenie broni w czasie świąt największych, — dla pogrzebienia umarłych etc etc. Wszędzie widzi się jego kojącą rękę Ojca i Samarytanina; nie zna różnicy narodowości i religji, wszystkim jest ojcem. Ujmuje się za nieszczęśliwymi Ormianami, wydanymi na rzeź i straszną głodową śmierć, stał się zbawicielem wielu nieszczęśliwych. Szczególniej Polska ma mu

dużo do zawdzięczenia; on pierwszy Polsce życzy wyzwolenia już w r. 1915, domaga się odbudowy Polski w swej nocie, kiedy nikt jeszcze o tem nie myślał. Skoro tylko stosunki na to pozwoliły i w Polsce utworzył się zaczątek rządów, zjawia się z jego rozkazu Wizytator Apostolski; odbudowuje zniesione djecezje, podlaską, mińską, kamieniecką, ryską. Cieszy się ze zmartwychwstania Polski, daje temu wyraz w przemianie Wizytacji Apostolskiej na Nuncjaturę I klasy; najpierwszy nawiązuje z Państwem naszym stosunki dyplomatyczne; dwóch zasłużonych Jej synów ozdabia purpurą. Z jaką miłością a zarazem bólem zaniepokojonego Ojca myśli i modli się za nią w czasie pamiętnych dni nawaly bolszewickiej, okazuje jego list do ks. kardynała Kakowskiego. Zarządza uroczyste modły za Polskę, jak się to czyni w groźniejszych tylko chwilach dla Kościoła.

Stare prorocstwo nazwało go symbolicznie „religią wyludnioną“, ale miał tę pociechę, że w czasie krótkiego swego pontyfikatu widział jeszcze przedświty nowego odrodzenia katolicyzmu, powstanie nowych państw katolickich, Polski, Czechosłowacji, Irlandji, rozkwit i odrodzenie Francji i Belgji, podniesienie się powagi Kościoła. Wszystkie niemal państwa nawiązują zerwane od wieków stosunki ze Stolicą apostolską z Anglią na czele, Francja wraca do swoich dawnych uczuć dla Stolicy Apostolskiej, znowu jest tam Jej Przedstawiciel. Wszystkie narody z czcią witają wysłanników Ojca św.: Gruzja, Armenja, do Ojca wiernych się ucieka. Nawet patriarcha i biskupi rosyjscy, od tylu wieków, oddzieleni od Stolicy św. ku niej się zwracają, bo też jest im Ojcem, wszak pierwszy wystosował rzewny apel o ratowanie głodnych w Rosji, wstawił się do rządów bolszewickich o pomoc dla uwięzionych kapłanów i biskupów rosyjskich.

W życiu wewnętrznym Kościoła, jego Pontyfikat odegrał ogromną rolę. Przed-

wszystkiem za jego rządów dokonano wiekopomnego dzieła kodyfikacji prawa kościelnego; ujednostajniono zwyczaje kościelne, posty, święta. Kodeks nowy, podnoszący powagę władzy kościelnej, domagający się duchowieństwa świętego, uczonego, zakonów gorliwych, a otaczający opieką rodzinę chrześcijańską, świętość i nierozdzielność małżeństwa, rozbudzający zamiłowanie wymowy kościelnej, nakazujący zakładanie szkół katolickich, uniwersytetów etc. wywrze na wieki wpływ zbawienny. Przytem czuwał Papież nad życiem liturgicznym kościoła, nad dalszą rozbudową reformy brewiarza i mszału, zaczętej przez Piusa X. Zwrócił swe oczy ku narodom

wschodnim, od Kościoła odłączonym. Stwarza dużym nakładem specjalny Instytut naukowy, mający się zająć badaniem nauki i życia kościołów wschodnich, zapoznać szerokie sfery katolickie ze stosunkami tam panującymi, wychować dla tych kościołów światły kler, ułatwić wydawnictwo ich dzieł, książek liturgicznych. Rozwinął Uniwersytet gregorjański, u nas w Polsce zatwierdził Uniwersytet lubelski, wydział teologiczny w Warszawie, nadając im szerokie prawa i przywileje. Gorliwie popierał nowe edycje Wulgaty, zachęcał do czytania Biblii w nowej wspaniałej Encyklice o św. Hieronimie.

Krótki pontyfikat Benedykta XV wśród

wojny okropnej, jakiej dotychczas nie zapisują dzieje, zaznaczył się wybitnie, i bez przesady najmniejszej wolno powiedzieć, że imię Benedykta ludzkość pamiętać będzie długo, a my Polacy możemy go zaliczać do Papieży, którzy rzewnie Polskę kochali. Żył z Polakami, miał wielu przyjaciół Polaków, a nadewszystko czcياً otaczał wielką Polkę i świętobliwą założycielkę SS. Zmartwychstanek Matkę Borzęcką. A SS. Zmartwychstanki wiele zawdzięczają jego osobistej pracy i poświęceniu. Nie bez wyższego natchnienia Bożego przybrał sobie imię Benedictus, bo prawdziwie był wśród rzezi powszechnej Benedictus, błogosławiony, który przybył w imię Pańskie!

Ks. Prof. W. Michalski.

PRZEŁOM WE FRANCJI.

Dymisja gabinetu Brianda i przyjście do steru rządów Poincaré'go, to największa sensacja polityczna ostatnich tygodni, nie tylko we Francji, ale i wszędzie niemal po za jej granicami.

Ażebym zrozumieć jej znaczenie, trzeba sobie w ogólnych choćby zarysach uprzytomnić przebieg zdarzeń politycznych po wojnie światowej.

Już ku końcowi konferencji pokojowej stało się rzeczą jasną, że, mimo iż Francja najbardziej zaważyła na szali zwycięstwa, tak przez ogromne, — największe wśród sprzymierzonych — ofiary, poniesione przez nią w ludziach i w majątku narodowym, jak przez decydujący w końcu o zwycięstwie, geniusz naukowo-techniczny (wynałazek tanków) oraz geniusz militarny swych wodzów (zasługi instruktorów francuskich w Anglii i w Ameryce, a wreszcie naczelne kierownictwo Focha), — że mimo to wszystko owoce zwycięstwa przypadną w pierwszej linii nie Francji, a Anglii. Jestto rezultat głównie niezwykle zręcznej osobistej taktyki Lloyd George'a, który już w czasie samej konferencji, działając bądź sugestją bądź niespodziewaną i giętką argumentacją, pod osłoną kolejno to hasła idealistyczno-narodowościowych, to przeciwnie nabytych praw historycznych, to znowu „twardych“ konieczności gospodarczych, stale i konsekwentnie, pociskając tylko — wedle potrzeby — coraz to inną sprężynkę ogólników, przeprowadzał cele polityki angielskiej, z najwyższą czujnością i drobiazgowością przeciwstawiając się wszystkiemu, co, zdaniem jego, sprzeczne jest z angielskimi rachubami.

Ponieważ zaś, niestety, zdaniem jego silna Polska właśnie nie była zgodna z temi rachubami, przeto stało się między innymi, że dzięki Lloyd Georgeowi i tylko dzięki niemu, nie otrzymaliśmy Gdańska, południowej części Prus Wschodnich z Warmią, oraz całego Śląska Górnego bez plebiscytu.

Nie tylko jednak Polska, która bądź co bądź w dziejach wojny światowej odgrywała rolę stosunkowo nieznaczną, ale także Francja, która w niej odegrała rolę pierwszo-planową, również dzięki Lloyd Georgeowi nie otrzymała wszystkiego, czego

pragnęła, nie otrzymała przedewszystkiem ani linii Renu, jako granicy, ani dostatecznych i niedwuznacznych gwarancji odszkodowań niemieckich i bezpieczeństwa na przyszłość.

Jednym słowem śmiało rzec można, że wprawdzie wojnę wygrał przedewszystkiem Foch, jednakże pokój wygrał przedewszystkiem Lloyd George.

Dzieje ostatnich dwu i pół lat, dzielących nas od chwili podpisania traktatu, to dzieje nieustannych wysiłków ratowania traktatu ze strony Niemiec, popieranym w tym względzie przez Lloyd Georgea, i niemniej nieustannych wysiłków ze strony Francji, by Niemcy zmusić do wykonania traktatowych zobowiązań, i by się wyzwolili z pod krępującej w tym względzie opieki Anglii.

Poczyniono przytem doświadczenie, że niemal wszystkie decyzje, jakie były powzięte na częstych zjazdach i konferencjach bądź Rady Najwyższej in pleno, bądź niektórych jej członków wypadały stale niemal na niekorzyść Francji w tym jej procesie z Niemcami, w którym rolę pośredniczącą odgrywał premier brytyjski. I naodwrot wszystkie korzystne dla Francji postanowienia zapadały w drodze posunięć dyplomatycznych, wykonanych przez rząd francuski na własną rękę, a w każdym razie z wykluczeniem bezpośredniego wpływu Lloyd Georgea. Tak było z pomocą, okazaną Polsce w krytycznych momentach wojny z bolszewikami, tak było z korzystnym dla Francji układem Wiesbadeńskim z Niemcami, tak samo z układem Angorskim z Turkami, tak było też częściowo z rozwiązaniem przez Ligę Narodów sprawą Górnośląską.

Natomiast w bezpośrednich z Lloyd Georgem konferencjach, Briand, jakkolwiek zręczny też bardzo taktyk polityczny i pierwszorzędnym również dyplomatycznym, jednakże przewadze mistrza angielskiego ulegał.

Gdy też na ostatnim zjeździe w Cannes zapadły uchwały, stawiające ponownie pod znakiem zapytania sprawę odszkodowań niemieckich i dopuszczające, wbrew zastrzeżeniom Traktatu, Niemcy mimo to do udziału w obradach międzynarodowych, wówczas opinia francuska niemal jedno-

myślnie, z wyjątkiem tylko komunistów i socjalistów, zwróciła się przeciw Briandowi, który wyciągnął stąd konsekwencje i w trakcie trwających jeszcze obrad w Cannes podał się do dymisji.

Następca jego, Raymond Poincaré należy — obok Focha i Clemenceau — do trójcy ludzi, którzy zorganizowawszy zwycięstwo nad Niemcami, „zasłużyli się dobrze ojczyźnie“, jak głosi piękna i lakoniczna uchwała parlamentarna, jako napis wyrzyta na kilkunastu tysiącach tablic, wmurowanych po szkołach Francji.

Poincaré będzie dążył do możliwie szerokiej i ścisłej realizacji Traktatu. W deklaracji swej dał wyraz przekonaniu, że w metodach działania należy wrócić do zwyczajów uświęconych dawną tradycją dyplomatyczną. Znaczy to, że Poincaré, a z nim bezsprzecznie i cała niemal Francja, dosyć mądrze tych szumnych zjazdów międzynarodowych, gdzie najżywotniejsze interesy Francji, wciągane w wir cichych intryg i głośnej retoryki, padają ofiarą zwady dyalektycznej angielskiego premiera w drodze przegłosowania poprostu przez przeciwników.

Że Poincaré, mówiąc o potrzebnej zmianie metody, dotknął punktu istotnie bolesnego, świadczy o tem replika Lloyd Georgea, który ze szczególnym zapałem broni metody zjazdów i konferencji.

Zdaje się jednak, że Poincaré ma w tym wypadku za sobą słuszność, i to nie tylko ze względów praktycznych, ale także zasadniczych.

Ani moralnie ani politycznie świat nie dojrzał jeszcze niestety do tego stopnia, by można porzucić zupełnie metody starej, t. zw. tajnej dyplomacji. Dojrzałości tej zaś nie tylko się nie przyspiesza, ale, przeciwnie, przyjście jej się opóźnia, gdy pod pokrywką popularnych hasła jawności obrad i wspólności interesów, przemycą się tylko starym trybem tajnie przygotowane, z góry ułożone, sprawy i interesy własne.

Bądź co bądź w Poincaré'm uzyskuje Lloyd George partnera politycznego równej sobie miary, acz zupełnie odmiennego typu.

W grze politycznej, jaka się wywiązuje, interes Polski jest bezsprzecznie związany z interesem Francji. *Irena Pannenkowa.*

SALON DOROCZNY.

Zbiorowa wystawa doroczna w Zachęcie, gdzie mieści się zaledwie kilkaset prac przeciętnych rozmiarów, zasadniczo nie daje nic nowego. Przyczyną tego jest w pierwszym rzędzie charakter lokalny wystawy, w której udział biorą nieliczne bardzo jednostki artystyczne z innych dzielnic Polski. Poznań, Lwów, a nawet najbliższy Kraków niewiele przyczynia się samą ilością nadesłanych obrazów, do wzbogacenia dorocznej wystawy t. zw. Salonu. Poza to rok rocznie wybierany Komitet Zachęty, składający się przeważnie, nie z łączącego oba krańce — centrum, lecz właśnie z tych biegunowo różnych, na połowy dzielących ogół artystyczny grup, powoływany zazwyczaj minimalną większością dwóch, lub trzech głosów wżwyz wykreśla linię, po której wszystkie wystawy wraz z Salonem dorocznym kroczyć mają. Znając skład Komitetu Zachęty, z góry powiedzieć można, jaki charakter mieć będą wszystkie wystawy, aż do końca maja roku następnego, kiedy to odbywa się burzliwa zmiana członków Komitetu.

Obecny rok Zachęty, powierzony kilkunastu artystom z zestrachanej prawicy, kurczowo trzymających się słomianego wiostła, nie zrobił nam niespodzianki. Z lamusów wydobyto części składowe maszyny, która już utraciła swoje przeznaczenie, mimo iż się jeszcze porusza, wierząc, czy chyba już nie wierząc w pożyteczność swych pretensjonalnych wysiłków. Z trudem i upokarzającym głową pochyleniem dozwolono, by nieliczne, już onegdaj przyjęte wartości nowe towarzyszyły starym bezwartościom na ścianach Pałacu Sztuki. Oto wszystko, oto tyle, by Salon nie miał określonego, mniej więcej szarmonizowanego przez jednaki poziom szczegółów ogólnego wyrazu.

Jury odrzuciło z nadesłanych prac więcej niż połowę, słowem przyjęło zaledwie trzysta obrazów. Ilość bynajmniej nie przemawiająca za rozwojem naszych sztuk plastycznych, tak bowiem przedstawia się ta sprawa dla wszystkich, kto sądzi życie sztuki naszej po wystawach w Zachęcie, — czyli sądzi nazbyt pozornie. Obecny Komitet T-wa Zachęty zgóry postanowił nieprzyjmować wszelkich prac, noszących cechy doświadczeń, eksperymentów nawet najbardziej poważnych.

Skutki podobnego postanowienia wyraziły się z jednej strony bojkotem Zachęty przez wielu artystów, rozporządzających poważnym talentem, z drugiej bieżmierną nudą, jaka panuje w Salonie.

Traci oczywiście na tem najbardziej sztuka nasza i artyści, których najlepsza część tuła się zagranicą, tam znajdując dla siebie uznanie i atmosferę, w której wszystkie istotnie wartościowe poczynania rozwijać się mogą.

Nizki poziom kultury artystycznej u nas, brak wszelkiej literatury z zakresu sztuk plastycznych jest jedną z najgłówniejszych

i najbardziej bezpośrednich przyczyn tego bezradnego stania na mieliźnie i niemocy ruszenia z martwego punktu, ani wstecz, ani naprzód.

Wyrazem wszystkiego wyżej powiedzianego jest Salon, łącznie z nagrodami pieniężnymi za najlepsze prace — zwyczaj wymiany zagranicą i niedający żadnych, prócz ujemnych wyników, czego żywym przykładem są oficjalne Salony Paryskie, obecnie oczekujące realizacji projektu gruntownego ich zreformowania wewnętrznego i unifikacji.

Wnikając w wartości prac obecnego Salonu, musimy zrezygnować z chęci dopatrzenia się jakiegokolwiek bądź ogólnego poziomu, wybierając nieliczne prace artystów znanych nam już z wystaw bieżących, lub zbiorowych własnych, do bardziej szczegółowego omówienia ich wartości.

Kompozycje Zofji Stryjeńskiej, niezwykle utalentowanej artystki, obdarzonej z natury wielką mocą twórczą i nagrodzonej roku ubiegłego za tę właśnie twórczą moc sumą kilkunastu tysięcy marek stanowią clou Salonu. Stryjeńska nieźródlna w budowie fragmentów kompozycyjnych, ujęcia formy, stylizacji ruchu wbrew wszystkim swym dotychczasowym wyrazom jej talentu nie daje w żadnym z trzech swych obrazów konstrukcji, całości i kompozycji ogólnej.

W obrazach artystki każdy szczegół, brany oddzielnie, jest doskonałym zupełnie, jednak nie związanym z całością kompozycyjną, przez brak odpowiedników i wzajemnych uzależnień części składowych obrazu.

Borowski Wacław w trzech swoich obrazach dał dalszy ciąg swych koncepcji malarskich, których treść stanowią: jednoplanowość kompozycji ogólnej, czyli kompozycji płaszczyzny; kompozycja rytmiczna tonów barwnych, wreszcie odrębna budowa kształtu na dwuwymiarze płótna. Wszystkie obrazy Borowskiego cechuje wdzięk, tym razem bardziej wydatny w „Dziewczynie“ i „Martwej naturze“.

Poważne założenia Żaka i Romana Kramszyka mają na obecnej wystawie swój bardzo ciekawy wyraz. Kompozycje pierwszego zarówno, jak i poszukiwania formy przez drugiego, świadczą o ciągłości ich twórczej pracy.

Pejzaże Fedkowicza z silnymi wpływami francuskiego poimpresjonistycznego malarstwa należą do najbardziej kulturalnych prac znajdujących się w Salonie.

Pronaszko Zbigniew w „Portrecie Ireny Solskiej“ — nie wyzyskał tych środków, które stanowią bogatszą stronę jego talentu, kolor w pracy Pronaszki jest niezdecydowany i martwy, gradacja tonowa prawie że żadna, stąd forma chwiejna, mimo b. szczęśliwe ogólne założenie kompozycyjne.

Studja Prószkowskiego Tadeusza, aczkolwiek wychylają się swemi wartościami

ponad większość prac wystawionych, noszą ślady zgoła niezrozumiałej nonszalancji i wyszukiwania nikogo nie mogących przekonać, sztuczek uwłaczających poniekąd poważnym ambicjom artystycznym ich wynalazcy, czy autora.

Poza wymienionymi artystami, posiadającymi własne, wyróżniające się z pośród ogółu wystawiających oblicze, reszta autorów — prac składających się na całość Salonu łączą się w pewne, mniej idejowo — więcej przypadkowo powiązane grupy.

Jedną z takich grup stanowią artyści, na których ciążą wpływy sztuki krakowskiej z epoki postanisławskiej. W skłą jej wchodzi: Henryk Uziembło, najciekawszy i poniekąd leader wspomnianej grupy, Podgórski Stanisław nagrodzony II-ą nagrodą za „Wnętrze kościoła na Podhalu z XIV w.“, Czajkowski Stanisław, Kowalewski Bronisław, Ówikliński Zefiryn, Kraśnik Zdzisław, Majewski Władysław, Leonhard Witold, Szygell Stanisław i Wiczorkiewicz Flawjan.

Drugą grupę wolną naturalistyczno-warszawską stanowią ci wszyscy, którzy z niewiarą we własne artystyczne możliwości chwytają się jako deski zbawienia pomysłów literackich, lub batalistycznych okropności, źle „odmalowanych“ i nie nadających się nawet do reprodukcji trójbarwnej na pocztówkach. Zbytecznym zdaje się wyliczanie nazwisk tych nieutalentowanych, lecz zato bardzo pretensjonalnych autorów, których, niestety, na wystawie obecnej widzimy za wiele.

Ze względu na mniej więcej ciekawe strony usiłowań artystycznych na wymienienie zasługują: Bigosiński Leon, Karmański Jan, Mieszkowski Józef, Korngold Lucjan za bardzo dobry rysunek barwiony, Tom Józef za autolitografię, Berent Anna, Mann Aleksander.

Poza wszystkimi wyżej wymienionymi, biorą liczny udział w wystawie dorocznej artyści znani nam z wystaw bieżących, jak: Skoczylas Władysław, Weyszenhof Henryk, Terlecki Alfred, Ziomek Teodor, Straszkievicz Stanisław, Siedlecki Franciszek, Radwan Wacław, Niemira Teodor i in.

Najbardziej ciekawym jest ilościowy i jakościowy udział artystek w Salonie.

Prócz Stryjeńskiej, o której już wspominałem wystawiają następujące artystki: Albinowska Zofja i Aneri — kwiaty; Binentalowa — „Ogród w Hucie“ obraz niezdecydowany, w którym jaskrawo skłócają się dwa odmienne założenia; Buharewicz-Hewelke Jadwiga obdarzona bezsprzecznym talentem, którego rozwój przy dokładniejszej obserwacji daje się odczuć w każdej nowej pracy artystki; Bukowska Molly; Centnerszwerowa Stanisława; Chełmońska Wanda; Dąbrowska Kazimiera ujawniająca talent rysunkowy i malarski w miniaturach; Dziurzyńska-Rosińska Zofja; Eborowicz-Zaleska Helena; Fijałkowska-Kędzińska; Gesnerówna Janina; Jaroszyńska Jadwiga;

Katarzyńska Zofja, artystka ulegająca wpływom malarskim swego męża, wiele zapowiadająca przez szczegóły swej kompozycji „Awantury Arabskie“; Koźniewska Marja; Le Brun Halina; Librowiczówna Ewa; Łuczynska-Szymanowska Irena, artystka rozporządzająca bogactwem środków i talentem, który błąka się jeszcze, nie mogąc znaleźć dla siebie odpowiedniego rodzaju wypowiedzi malarskich, Maszyńska Stanisława; Mrozowska Marja z nadspodziew-

wanie pod wieloma względami wartościowym „Pierrotem“; Piramowicz Zofja; Popielska Teresa; Prószyńska Janina; Rozbicka Mieczysława; Teodorowicz-Karpowska Helena; Wertensteinówna Marja; Gaszczyńska Wiga jedna z poważniejszych sił twórczych kobiecych.

W Salonie, poza wszystkimi pracami, specjalnie nadesłanymi na wystawę doroczną, znajduje się cykl akwarel zasłużonego artysty Apolonjusza Kędzierskiego,

nagrodzonego za pracowitość i wytrwałość pierwszą nagrodę. Nagrodę drugą otrzymał p. Michał Boruciński, za kompozycję pod każdym względem zupełnie poronioną. P. Podgórski otrzymał trzecią nagrodę za wnętrze kościoła bezbarwne i niezmiernie nudne.

Oficjalna strona Salonu przedstawia się jak najgorzej, podczas, gdy wszystkie prace noszące najmniejsze ślady wysiłków eksperymentalistycznych ratują całość dorocznego przeglądu artystycznego.

Jan Żyznowski.

PROF. DR. TADEUSZ ZIELIŃSKI.

IFIGENJA.

(DOKOŃCZENIE).

V.

Ale i po drugiej stronie siły są mniejsze. Tajemnica się wydała: Klitemnestra dowiedziała się, poco wraz z córką wezwano ją z Argosu. Zapewniła ona sobie potężny środek ratunku; ale nim się doń ucieknie, pragnie prośbami ubłagać króla. Jej nie „Hellada“ nie mówi; ona staje w obronie swych praw kobiecych, a prawa te są jasne, niezawodne, niezwalczone. Równie, jak większość Greczynek, wyszła za mąż nie z miłości, tylko na życzenie rodziców; poślubiwszy go, atoli, wierną mu była małżonką i posłuszną, święcie strzegąc czci jego i jego dzieci — tych czworga dzieci, które wydała na świat. Jakże jej teraz chce odplacić?

...Powiedz, czyś pomyślał o tem,
Gdy na wyprawę udasz się daleką,
Co z sercem matki stanie się, Atrydo,
Matki dziewczęcia, które zamordujesz?
Jakże ta matka na łożu ptaszyny,
Swojej ptaszyny martwej będzie patrzeć,
Jakże na gniazdko puste będzie patrzeć,
Dzień po dniu, płacząc i przypominając...

Czy pomyślał? — O, tak, rozumie się, pomyślał; ale myśli te nie zdołają skruszyć jarzma Konieczności, one zadają tylko jeszcze więcej bólu sercu rodzicielskiemu, które się rwie na kawały... Niema rady; trzeba uciec się do ostatniego, ostatecznego środka.

VI.

Tym środkiem jest Achilles. Sławny syn rusałki, w samotności gór przez mądrego wychowany Centaura, obcy wszelkiemu — jak rzeklibyśmy dziś — „instynktowi społecznemu“. I jemu nie mówi „Hellada“, albowiem widzi on w niej dokuczliwą przeszkodę na drodze swej woli osobistej, jego zaś wola jest namiętna, potężna i czysta, niby wichur z wyżyn Pelionu. Jest on oburzony tem, że Agamemnon użył jego imienia dla swego podstępного zamysłu. O małżeństwie nie myśli — Ifigenji nigdy nie widział i słyszy o niej poraz pierwszy, lecz jest to rzecz obojętna; dziewczynę, którą nazwano „narzeczoną Achillesa“, skrzydzić nie pozwoli, Prawda, że jest on sam jeden; cała „Hellada“ powstała przeciw niemu, nawet własna jego drużyna prawie cała go opuściła, nie chcąc

dla pięknej chimery poświęcać sprawy powszechnej. Lecz jest on zato pierwszym wśród wojska bohaterem, niezwykłym synem bogini morskiej; przyjdzie, stanie obok ołtarza, uzbrojony od stóp do głowy, na czele wojów, którzy pozostali mu wierni, — i biada temu, kto podniesie nóż na jego narzeczoną. W wojsku rozeszła się o tem wieść, i powszechne napięcie się wzmacnia; Odysseusz, przedstawiciel siły społecznej, rozpala namiętności wojowników przeciwko młodemu szaleńcowi. Znosi się, jak widać, na gorącą rozprawę; krew helleńska obficie zrosi ołtarze dziewiczej bogini.

...Nie Achilles jest bohaterem naszego dramatu; ale sprawiedliwość wymaga, abyśmy wskazali mimochodem na tę postać szczególną, zwiastującą jakgdyby w swej osobie cały średniowieczny romantyzm rycerski, z jego odwagą bezpamiętną, z jego szlachetnością, nie mającą zastrzeżeń, z jego gotowością walki w obronie kobiety i jej praw.

VII.

Nie Achilles jest bohaterem dramatu, jego bohaterką jest przedstawicielka kobiecości — Ifigenja. Kimże jest Ifigenja? Jest to kwiat prześliczny i tkliwy, wyrosły w chłodnym cieniu komnat pałacowych, pod życzliwą opieką tejże bogini-panny, Artemidy. Będąc dumą swego ojca, i sama dumna z niego, tego wzoru cnót wszelkich w jej oczach, zacisznie rosła na spotkanie owego czasu, którego przecucie napawało ją uczuciem trwogi i słodyczy, czasu, w którym wypadnie jej drugiego człowieka nazwać swym małżonkiem, stać się gospodynią i królową w innym domu, w innym kraju. I, oto, czas ten nadszedł: jej sny dziewicze znalazły, a raczej — snom tym wskazano określony przedmiot. Słowo „we-sele“ zadźwięczało w jej uszach, wywołując pełnię rozkwitu całej młodzieńczej istoty... i nagle ten miraż uoczy ginie, inne słowo słuch jej uderzyło — słowo straszne: śmierć, śmierć z ręki ubóstwianej, z ręki ojca. Wszystka jej młodość buntuje się przeciwko tej groźbie; protest — wieczny, rozdzierający protest życia przeciw unicestwieniu — dyktuje jej pierwsze słowa:

...O, nie zabijaj mnie przedwcześnie!
Świat jest tak cudny, a schodzić w podziemia
Wiecznego mroku tak strasznie!... Litości!

Mówi to ojcu, ojciec zaś jej odpowiada:

...Hellada żąda twej ofiary
Hellada śmierci twojej się domaga.
I gdyby przyszło dla niej do ostatka
Krew naszą wylać, aby barbarzyńca
Pół jej nie deptał i kobiet nie haubił,
Atrydów krew przed śmiercią się nie cofnie.

Hellada? Cóż znaczy dla niej Hellada? Cóż ona w tem wszystkim rozumie? Lecz ona *kocha* tego, od kogo słowa te słyszy, i miłość ta wystarcza jej zamiast wyjaśnień, zamiast dowodów, łańcuch życia rozluźnia się; kędyś w mglistej dalekości, dostrzega ona jakiś ideał nowy, który kochać zaczyna na wiarę, gdyż ideałowi temu służy człowiek, przez nią ukochany. Wszelako, decyzji jeszcze nie powzięła: na rękach matki szlocha bezradnie: poco, poco to wszystko?

Zjawia się Achilles. Ifigenja pragnie ukryć się przed nim; przed tym, z którego imieniem złączyła swe marzenia dziewczęce, lecz ukryć się nie ma gdzie. Widzi go, widzi jego urodę wspaniałą i męstwo: widzi jego gotowość oddania życia za tę, którą bez jego wiedzy nazwano jego narzeczoną — a więc śmierć, widocznie, nie jest tak znowu okropna. Jest to wtóra lekcja miłości. Choć czuje słusność po swej stronie, widzi i wierzy, że i ojciec jej także ma słusność, i że te dwa rodzaje słusności zetną się ze sobą w morderczym boju, jeżeli nie pojedna ich miłość. Ojciec ukazał jej cel, narzeczony zaś wskazał jej też i drogę: teraz już się nie waha. Nie pod uciskiem przemocy, nie — dobrowolnie poświęca siebie na ofiarę za ojca, za obłubieńca, za wojsko, za ową „Helladę“, którą kochać nauczyły ją usta kochane; jej wolna wola miłością natchniona, skruszy jarzmo Konieczności.

Taka jest potęga tej dziewczeczki pokornej.

Nie dano jej odwagi twórczej, zapalającej ideały życia: dano jej miłość i wiarę, a wraz z niemi zdolność brania w siebie i piastowania ziarn ideału, posianych w duszy jej przez człowieka kochanego, strzeżenia ich aż do samozaparcia, aż do poświęcenia.

Tak, snadź, rozumiał kobietę Eurypides.

JACK LONDON. PRZEMYŚLNY PORPORTUK.

(DALSZY CIĄG).

— Chodź, — powiedział. Pójdziemy do mego domu.

— Czy pamiętasz dwie rzeczy, które ci powiedziałam jeszcze na wiosnę? — spytała El-Soo, nie ruszając się z miejsca.

— Oddawna miałbym źle w głowie, gdybym chciał pamiętać wszystko co mówią kobiety, — odrzekł.

— Powiedziałam, że będziesz spałony — ciągnęła niewzruszenie El-Soo. — Przedtem zaś powiedziałam jeszcze, że nigdy nie zostanę twoją żoną.

— Być może, ale to było przed dokonaniem formalnego kupna. — Porportuk trzasnął palcami po schowanym w kieszeni papierze. — Kupiłem cię wobec całego świata. Należysz do mnie. Nie zaprzeczysz, że do mnie należysz.

— Należę do ciebie — potwierdziła spokojnie El-Soo.

— Posiadam cię.

— Posiadasz.

Głos starego zadrgał pogardą i tryumfem.

— Jak psa cię posiadam!

— Jak psa mnie posiadasz, — ciągnęła niewzruszenie El-Soo. — Zapomniałeś jednak to, co ci mówiłam. Gdyby mnie kupił jakikolwiek inny mężczyzna zostałabym niewątpliwie jego żoną. I byłabym mu dobrą żoną. Taką wola była moja i postanowienie. Ale postanowiłam również, że nigdy nie zostanę twoją żoną. A więc — jestem twoim psem.

Porportuk wiedział, że igra z ogniem, ale uważał, że w takich razach lepiej igrać odważnie.

— Więc dobrze, mówię do ciebie nie jak do El-Soo, ale jak do psa — odrzekł. Każę, żebyś szła za mną natychmiast. — Chciał chwycić ją za ramię, ale cofnęła się dumnie.

— Nie tak prędko, Porportuk. Kupujesz psa, pies ucieka. To już twoja strata. Jestem twoim psem. Cóż — jeżeli ucieknę?

— Zrobię to co właściciel psa: obję cię.

— Jak złapiesz?

— Jak złapię.

— No to złap.

Sięgnął po nią, ale już mu umknęła. Śmiejąc się, biegła wokoło stołu.

— Łapać! — rozkazał Porportuk swemu zbrojnemu indjaninowi, stojącemu najbliższej dziewczyny. Zaledwie jednak ten zdołał wyciągnąć ramię, król z Eldorado zdzielił go pięścią w ucho. Karabin łupnął o ziemię. Była to doskonała okazja dla Akoona. Oczy mu błysnęły, lecz nie uczynił nic.

Porportuk był stary, ale chłodne noce całego życia zachowały mu siłę i rzeźkość. Nie gonił dziewczyny wokoło stołu; nagłym ruchem przesadził stół i błyskawicznie runął ku El-Soo. Była zaskoczona. Rzuciła się w tył z ostrym krzykiem alarmu i Porportuk byłby ją dopadł, gdyby nie trafił na Tommy. Noga chłopaka błyska-

wicznie wysunęła się naprzód. Porportuk potknął się, zachwiał i padł jak długi twarzą w piach. El-Soo pierzchnęła.

— No to złap! — zaśmiała się przez ramię w przelocie.

Biegła lekko i zwinnie, ale Porportuk gonił zawzięcie i gniewnie. W młodości biegał najlepiej ze wszystkich okolicznych zapaśników. Z łatwością więc dorównał dziewczynie, ta jednak wymykała mu się w jakiś nieuchwytny, gibki sposób, raczej jak gałąź, niż jak kobieta. Będąc w indyjskiej szatce, nogi miała swobodne, więc śmigłe ciało gięło się w niespodziewane łuki i zataczało polotne kręgi, wyślizgując się niemylnie sztywnym dłoniom goniącego.

Z gwarem i śmiechem rozsypał się tłum, żeby obserwować niezwykle polowanie. El-Soo wbiegła w środek wioski. Pomykając i kołując, w kręgach i nawrotach kryła się i ukazywała między skórzanymi namiotami, a za nią ciskał się zziębnięty Porportuk. Zdawać się mogło, że dziewczyna kołysze się na falach powietrza, obejmując je rozbujanymi ramionami, niekiedy zaś ciało jej, odchylone śmiało, gdyby blizkie już utraty równowagi, gięło się raptownie w stromym półkolu. A Porportuk wciąż o pół kroku za nią, lub o pół kroku z boku miotał się w słabych podskokach, jak zganiany pies.

Przecieli otwartą równinę za wioską i znikli w lesie. Stacja Tana-naw czekała ich powrotu równie długo jak bezskutecznie.

Akoon tymczasem jadł, spał i marudził ociężale przy ładowaniu małego parowca, głuchy na wzrastające objawy niechęci ze strony mieszkańców Tana-naw, których oczekiwania ośmielił się zawieść. Po upływie doby Porportuk powrócił. Zmęczony był i wściekły. Nie odzywał się do nikogo prócz Akoona, z którym najwyraźniej szukał zwady. Lecz ten wzruszał ramionami i odchodził. Porportuk nie tracił czasu. Wynajął pół tuzina młodych indjan, wybierając co silniejszych w nogach i co wytrzymalszych w podróży, poczem na ich czele zapuścił się w głąb lasu.

Następnego dnia, parowiec *Seattle* idący w górę rzeki zarył się w brzeg i wyładował drzewo. Kiedy zdjęto liny i statek ruszył, Akoon znajdował się na pokładzie, czuwając w budce sternika. W kilka godzin później, kiedy z kolei sam stał przy sterze, zobaczył jakieś czółenko z brzozywej kory, odbijające od brzegu. W czółenku odróżnić było można jedną tylko postać. Akoon przyjrzał się jej uważnie, zwolnił szybkość statku, a nareszcie skierował go na spotkanie czółenka.

Kapitan wpadł do budki.

— O co chodzi? — Woda dobra.

Akoon zaklął: ujrzał czółno większe, pełne ludzi, odbijające w ślad za pierwszym.

Wtedy jeszcze gwałtowniej skierował *Seattle* naprzeciw.

Kapitan rozgniewał się.

— Jakaś indjanka! — protestował.

Akoon milczał. Oczy pełne miał tego co działo się na rzece. Wpił źrenice w indjankę i w czółno pogoni. Błyskało tam sześć sprawnych wiosł. Kobieta wiosłowała z trudnością.

— Ster prosto, powiadam! — krzyknął kapitan, chwytając szprychy. Ale Akoon zacisnął dłoń, nateżył wszystkie siły i nie puszczał koła, mierząc zwierzechnika groźnemi oczyma. Ten zwolna odjął ręce.

— Warjat, psia krew — mruknął przez zęby.

Akoon zatrzymał statek na samej granicy głębokiej wody i czekał, dopóki palce kobiety nie uczepliły się przedniego koła. Wtedy dał sygnał „pełną parą naprzód“ i wyprostował ster. Większe czółno było blisko, lecz odległość jego od statku poczęła zwiększać się z każdą chwilą.

Kobieta rozśmiała się i wychyliła ku wodzie.

— Złap no teraz, Porportuk! — krzyknęła.

Akoon opuścił statek w Forcie Yukonu. Wynajął małą zwinną łódkę i popłynął w górę rzeki Porcupiny. Z nim razem popłynęła El-Soo. Podróż to była ciężka, a droga wiodła przez samą oś świata. Ale Akoon kiedyś już przebywał ten szlak. Gdy dotarli do źródeł Porcupiny porzucili łódź i poszli piechotą przez Góry Skaliste.

Akoon lubił nadewszystko iść w ślad za El-Soo i paść oczy widokiem jej ruchów. Taiła się w nich melodia, którą kochał. Najmilsze były mu łodygi nóg dziewczycy, zamknięte w gładkim atlasie skóry, smukłe kostki i maleńkie, obute w mokasyny, stopy, niestrudzone niczem w długie dni podróży.

(D. e. n.).

M. KUZMIN.

*

*

*

*Być porzuconym - ileż w tem radości!
W przeszłości jakaż jasność śni bez końca -
Tak, gdy po lecie zimy przyjdą włości,
Wciąż widzisz słońce, choć już niema słońca.*

*Dwa czułe listy, kwiatek zasuszony,
Spotkanie, wzrok, śmiejący się łaskawie, -
To nic, żeś dziś po grudzie iść zmuszony,
W wiosenny czas kroczyłeś po murawie.*

*Są jeszcze inne próby dla miłości,
Jest inna droga - przez samotne pola.
Być porzuconym - tyle w tem radości!
Być niekochanym - to najsroższa dola.*

Przełożył

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW.

JADWIGA MARCINOWSKA.

W POŻODZE EUROPY.

(DALSZY CIĄG).

Na tle ogólnej pożogi uśmiechała się pewność osobistego powodzenia.

W rozmowach z Leą znalazł młody Ostsacken nadspodziewane ułatwienia dzięki faktowi, że przed kilku laty, zresztą dosyć przelotnie, zwiedził Indje.

Gdy wspomniał o tem, zaświeciły się oczy dziewczyny i Otto pobłogosławił swoją przejściową zachciankę turystyczną.

Na początku jednakże, właśnie przy tym temacie, wynikła dysharmonja. Okazało się bowiem, iż to, co pan oberlejtendant chciał traktować wzgardliwie, a mianowicie: charakter, kultura i obyczaje ludności miejscowej, to są z punktu widzenia panny Lei rzeczy bardzo szacowne i zasługujące na uwagę. Najwyraźniej żywiła do tego dziwną sympatję. Ostsacken, zorjentowawszy się w tem położeniu, wykonał natychmiastowy i zdecydowany zwrot w swej ocenie i zademonstrował współczucie dla krajowców współcześnie z potępieniem bezwzględem strony panującej, uciśkającej, zaborczej, więc rządu i społeczeństwa angielskiego. Przytem dał upust mimowolny tej wielkiej nienawiści do Anglii, która w momencie wybuchu wojny wezbrała w każdym sercu niemieckiem. Oczy mu się zaiskrzyły chłodnym, zaciętym, mściwym gniewem, z ust posypały się słowa twarde i brutalne jak uderzenia.

Ale i to w dziewczynie nie wywołało oddźwięku przychylnego; raczej wybuch dotknął ją w przykry sposób. Wojna przerażała ją jako nieszczęście i każda ze stron walczących wydawała się jej zarówno i uczestniczką zbrodni i ofiarą niedoli. Nie rozumiała przeciwieństw i antypatii narodowych. Wogóle Ostsacken musiał przyjąć rychło do przekonania, że każda wzmianka o wojnie porusza w niej coś bolesnego, że powoduje jakies wstrząśnienie. Począł więc omijać ten temat, aczkolwiek trudnym to było wśród panującej naokół atmosfery.

Rozmawiali teraz najczęściej o krajobrazach indyjskich i o różnych tamtejszych osobliwościach przyrody i sztuki. Młody oficer uchwycił się przytem taktyki bardzo szczęśliwej, a mianowicie przeważnie napomynał tylko, że bywał tu albo owdzie i widział to albo tamto, a potracona tem wyobraźnia Lei przynosiła jej malowidła rzeczy porzuconych niedawno a sercu miłych. Rozmarzały się wtedy duże i zamysłone oczy i dziewczyna poczynała opowiadać, przejmować się i uśmiechać, a Ottowi zdawało się, że łącznie z tą nicią drogich wspomnień snuje się zawязek jakiegoś bliższego pomiędzy ich dwojgiem stosunku, że w uczuciach dziewczęcia zarysowuje się powoli jakiś pociąg, jakies upodobanie.

Mylił się jednak w tem przyjemnym dla siebie przypuszczeniu. W myślach Lei na tle obrazów indyjskich uwydatniała się nieodmiennie postać Wojciecha. I właśnie im

wymowniej otaczało ją uwielbienie młodego nadporucznika, tem usilniej odzywała się w niej tęsknota do dawnego i kochanego przyjaciela. Była jeszcze dzieckiem pod bardzo wielu względami; nie pojmowała dokładnie rodzaju nadszłości Otto von Ostsacken, ale kobiecość podświadomie budząca się w tych warunkach zwracała się odrazu i wyłącznie do człowieka, przy którym serce zostało.

Wspomnienia jawańskie zbladły, reminiscencje wczesnego dzieciństwa przepływały już krótką falą, odmiecioną przez szybko następujące po sobie wypadki i wrażenia, ale mocny i rozżarzony, gorejący natężonemi blaskami obraz Indji trwał jak podniesione do zenitu najsilniejsze uczucie... Był to kraj, kędy obcowała z kochanym człowiekiem i gdzie doznała pełnego entuzjazmu dla nowej idei religijnej. Dziś chciała żywą pamięć miejsc tych przechować w sobie, jak świętość i jak daleką i bezimienną, ale — słoneczną jakąś nadzieję.

Tymczasem Ostsacken począł się niepokoić. Z pewnych poszlak jał wnosić, iż go niebawem czeka odwołanie do armii czynnej i to zgoła na front. Wprawdzie wiązać się to miało z niewątpliwym awansem, ale zmuszało go do rozstania się może nazawsze z pociągającą dziewczyną. Dopiero teraz odczuł, jak mu się Lea stała pożądaną i nieodzowną w życiu.

Nie chciał dać za wygraną, powziął pewien plan i przystąpił do wykonywania go stopniowo, ale wytrwale i bezwzględnie.

Przestał unikać wzmiankowania o wojnie. Przeciwnie, właśnie o ten przedmiot potraçał jakby umyślnie, bo nieustannie i na sposób rozmaity. Nie wstrzymywał go wyraz bolesnego zmęczenia w oczach Lei; szedł konsekwentnie do jakiegoś swojego celu. Uczestniczył już w kilku bitwach i mówił, opierając się na własnym przeżyciu i doświadczeniu, a rzecz przedstawiał najczęściej nie ze strony militarnej sukcesu, ale ze strony ludzkiej — cierpienia.

Opowiedział o dziesiątkach tysięcy rannych znaczących każde poruszenie się walczących armji, o tych mękach, które złagodzić umie jedynie doskonała organizacja, natchniona intencjami głębokiego współczucia. Na tem tle posepnie uwydatniał zasługi instytucji „Czerwonego Krzyża“ wogóle, zaś niemieckiego w szczególności, zachwycając się wydatną pracą i poświęceniem się „sióstr“. Starał się obudzić w dziewczynie przeświadczenie, iż nie godzi się tkwić jako świadek bierny wśród powszechnej pożogi, że należy wziąć udział, jaki zawsze najlepiej odpowiada powołaniu kobiety, a więc pośpieszyć z pomocą i koić ból...

Lea słuchała, z początku nadaremnie zżymając się wewnętrznym ruchem obronnym przeciwko temu ogarniającemu zewsząd naciskowi męki człowieczej. Potem

jęła wyrzucać sobie egoizm i małoduszność. Bo oto unikała myśli o wojnie, nie umiając sobie poradzić z druzgocącym zagadnieniem, jak się to mogło stać wbrew obietnicom wielkim i błogosławionym, które przewidywały zupełnie inne koleje historii świata... Ale czy miała prawo usuwać się i przymykać oczy, aby osobiście mniej cierpieć, nie widząc...? I czy nie należałoby właśnie, nie mogąc rozstrzygnąć tej rzeczy dla siebie zasadniczo, zapomnieć o sobie jaknajzupełniej i wejść w atmosferę działania, kładąc już bez żadnych zapytań, naprzeciwko szali ciężkiego zła chociażby odrobinę wytwarzanego przez się — dobra?

Pobyt Janusza w Amsterdamie przeciągał się jeszcze z powodu powikłań rozmaitej natury. Jako pochodzący z części Polski zagarniętej przez Rosję, starał się o możliwość dojazdu do Warszawy, której jednak właśnie w tym czasie zagrażała już z bliska ofenzywa niemiecka, co utrudniało mu sprawę. W stosunkach osobistych wśród kosmopolitycznego zbiegowiska na neutralnym gruncie unikał zarówno Niemców jak i Moskali. Towarzystwo celowo uprzejmego Ostsackena znosił z trudnością, zaledwo zdobywając się na utrzymywanie elementarnych i chłodnych form grzeczności. Miał w sercu straszny, dla cudzoziemców niedostatecznie zrozumiały, polski tragizm rozdarcia. Nie mówił o tem z Leą, wątpił, aby go pojąć umiała pomimo wrodzonej swej subtelności, były to dla niej przecież takie obce dziedziny... Sam w sobie wstrzymywał się z sądem o położeniu i o tem, co najsnadniej czynić wypada. Chciał przedtem znaleźć się tam w Ojczyźnie, wsłuchać się w jej tętno bolesne, ale żywe, rozejrzeć się własnymi wpośród swoich oczyma.

Antypatja do Oberlejtenta sprawiała, że przeważnie pozwalał mu na sam na sam ze swą przygodną, młodą pupilką. Otto narzucać się umiał niby dobrodusznie, z pozorną, nie przypuszczającą prostotą; Trepka w takich wypadkach najczęściej po krótkiej chwili wychodził, nie mogąc zapanować nad rozdrażnieniem.

Wymawiał to sobie później... Szczególniej tknęło go coś nieprzyjemnie, gdy dnia pewnego minęli się przede drzwiami czytelnymi — Ostsacken wychodził z tamąd z wyrazem wielkiego zadowolenia i nieledwie tryumfu na butnej i przystojnej twarzy...

Trepka przyspieszył kroku. Lea lubiła przeglądać pisma o tej godzinie. Pchnął drzwi do sali. Dziewczyna siedziała w głębi na fotelu pod oknem. Rękę z nieczytanym dziennikiem opuściła bezwładnie na kolana. W jej zadumanych oczach widniało jakies niezwykajne wzruszenie.

Trepka zaniepokoił się, ale usiadłszy przy niej, rozpoczął rozmowę zwykłym głosem:

— Przybliży się już moment mojego wyjazdu do kraju; wszystkie formalności narzecie na ukończeniu...

— Ach! jak to dobrze... dla pana! rzekła zyczliwie. Wiem, iż pan bardzo oczekuje tego powrotu do swoich i do siebie...

— Ale jest jedna okoliczność zatrzymująca... Jakże ja tu panią samą zostawię, panno Leo..?

Podniosła główkę i powiedziała z jakimś dziwnym wyrazem.

— O! i ja także wyjeżdżam, Mr. Trepka.

— Tak?—ucieszył się.—O, to mię uspakaja niezmiernie... A więc ciotka..?

— List odebrałam... Nawpół otworzyła torebkę, ukazując jakąś dużą kopertę. Nie może tutaj przybyć; stan zdrowia i interesów... Ale pisze, iż się spodziewa, że ją — na krótko — odwiedzę. W tych oto słowach... Jest chłód w tym liście... Ja nie do niej pojadę!

W tonie ostatnich wyrazów odezwało się trochę dziecinnej oburzonej żalości, ale przedewszystkiem dźwięczało mocne postanowienie.

— A więc dokąd, moja przyjaciółeczko? spytał Janusz.

— O! niech mi tylko pan nie odradza, Mr. Trepka! To już rzecz — we mnie zrobiona!

— Przestrasza mię pan! cóż to jest?

— Zapisuję się do Czerwonego Krzyża... przy armji niemieckiej na froncie wschodnim...

Trepka milczał przez chwilę. Ogarnęło go uczucie dotkliwej przykrości łącznie z wyrzutami sumienia. Nie ustrzegł przyszłości tego dziecka! Wprawdzie przyjaciel nie włożył nań obowiązków sięgających aż tak daleko, temniemniej Janusz czuł się teraz poniekąd winnym wobec Wojciecha. I winnym w stosunku do tej małej, któraby go zapewne usłuchała cokolwiek wcześniej przed paru tygodniami. Zaniedbał... Oto skutki. Polubił tę dziewczynkę. Niemilo mu pomyśleć, że się zażyłość ich rozwiąże w taki sposób, że właśnie przez to Leę utracić musi.

— Dlaczego przy armji niemieckiej?— wyrzekł w końcu.—Jeśli pani wogóle tego koniecznie chce, dla czegożby nie gdzie indziej?..

Odpowiedziała z jakimś bardzo ciepłym i szczęśliwym uśmiechem.

— Na ich front wschodni... A to jest w Polsce, nieprawdaż? W ojezyźnie Mr. Lechowicza... (D. c. n.).

KRAWCZYNIĘ I SZWACZKI CHRZEŚCIJAŃSKIE W WARSZAWIE

(Dalszy ciąg).

Kwestja szkół zawodowych poruszana była podczas ankiety wśród każdej niemal grupy i każda uznawała ją za rzecz wagi pierwszorzędnej, jako warunek umiejętności fachowej i równowagi. Były wprawdzie zdania, że szkoła nie zastąpi nigdy dłuższej praktyki i terminowania, ale po dłuższej dyskusji udawało się przekonać, że ideałem jest dopełnianie szkoły przez praktykę, oraz systematyczne nauczanie podstaw, czego praktyka sama dać nie może, poza tem stwierdzały rzeczoznawczynie, że osoby, które dzięki swoim zdolnościom bez nauki doszły do umiejętnego wykonywania zawodu, nie potrafią dru-

gich nauczyć. Potrzebne tu systematyczne przygotowanie i znajomość zasad.

Ustalono również, że w szkołach zawodowych powinny być prowadzone przedmioty ogólno-kształcące, aby z pracownic wyrobić myślące kobiety i dobre obywatelki kraju. Wreszcie podnoszoną była bardzo ważna sprawa przeniesienia nauki zawodowej na godziny poranne, ponieważ nie można wymagać, aby osobnik zmęczony całodzienną pracą istotnie korzystał z nauki.

Pracownice nie rozumieją dotąd dostatecznie, jak niezbędną jest nauka kroju. Za dowód posłużyć może małe powodzenie kursów kroju Dźwigni, w lokalu Z. K. K. i w Tow. pomocy w zawodowym doskonaleniu się kobiet. Przeszkadzały tu niewątpliwie brak i drożyzna materiałów podczas wojny, ale również brak wytrwałości i przekonanie, że to niepotrzebne. Tymczasem krój dla wyszkolonej szwaczki jest niezbędny, ale opanować go całkowicie można tylko przy dobrej umiejętności szycia.

Ogromnie ważną dziś przy drożyznie materiałów i odzienia, sprawa reperacji była również poruszana, bo nawet pierwszorzędne magazyny przyjmują bieliznę do naprawy, a odzież do przeróbki. To też umiejętność cerowania i łatania stała się tak ważną, że w zawodowych i gospodarczych szkołach ministerjalnych zaprowadzono naukę reperacji. Naturalnie musi to być wprowadzonym we wszystkich szkołach, a także w szkole powszechnej.

Potrzeba zawodowego wykształcenia istniała również i przed wojną, w międzyczasie zaś liczba szkół przygotowujących krawczynie i szwaczki wzrosła, pomimo to pojawia się zjawisko, które byłoby paradoksalnem, gdyby nie brać go za przejaw, jeden z wielu, dezorganizacji wprowadzonej przez wojnę, a mianowicie:

Pracownice nie mają roboty i podpadają. Bezrobocie szerzy się coraz więcej, natomiast, kiedy zjawia się praca, niema rąk chętnych do jej wykonania. — Pracownice ubywa.

Podobne zjawisko zauważyć można w innych gałęziach wytwórczości, nie tylko w marcu r. 1919 ale i teraz. Robotnik i pracownik płci obojczy odpyta do lżejszych i zyskowniejszych zajęć, — handluje, a tylko garstka najsolidniejszych jednostek trzyma się pracy. Niema tu różnic zależnie od płci, podobnie jak zdaniem kierowników firm pierwszorzędnych różnice w pracy tkwią w indywidualnem uzdolnieniu zarówno kobiet jak i mężczyzn.

Pod względem ogólnego wykształcenia poziom pracownic raczej się obniża, niż podnosi. Dawniej liczne były panienki z inteligentnych rodzin z wykształceniem kilku klas, obecnie przeważają córki stróżów i robotnice najuboższych warstw proletariatu.

Stan zdrowia pracownic jest naogół ujemny, procent gruźliczych znaczny. Nawet większe firmy rzadko kiedy utrzymują stałych lekarzy, ale dają wielokroć zasiłki na kurację. W chrześcijańskim Związku Rękodzielniczek Dźwignia dr. J. Budzińska Tylicka, prowadząc sekcję higieniczną, stwierdziła, że na 153 zbadanych członkiń tylko 3 były zupełnie zdrowe, z chorych 70 cierpiało na płuca a 46 na silną anemię. To też rzeczą pierwszorzędnej wagi są urlopy, w pracowniach większych od czasu strajku z maja 1918 r. udzielane są urlopy 2 do 3 tygodni płatne, o ile pracownica zatrudniona jest w tej samej pracowni więcej niż rok.

Warunki pomieszczenia są w większych firmach dobre, w drobnych zaś wprost fatalne.

Pensje wypłacane są przeważnie co miesiąc w damskich większych pracowniach. Umowa jednak zawierana jest na dnię i oblicza się co tydzień lub dwa. Lepsze magazyny płacą pensje zasadnicze niezależnie od tego, czy jest robota.

Praca chałupnicza rozpowszechniona jest w konfekcji damskiej w bielizniarstwie i w kuźnierstwie oraz w krawiectwie męskim. Chałupniczki robią bluzki, okrycia, kamizelki, spódnice, mufki, kołnierze i t. d. Jednakże pracownice, w których odbiorcami są osoby zamożniejsze, należące do eleganckiego świata, tylko wyjątkowo zatrudniają chałupniczki, natomiast tam, gdzie jest robota masowa, liczba chałupniczek przewyższa 3, 4 a nawet 10 razy liczbę zatrudnionych na miejscu pracownic. Okazało się to przy badaniu stosunków w pracowniach spółdzielczych i stowarzyszeniowych, założonych w celu dostarczenia odzieży i bielizny warstwom ludowym. Chałupnictwo wystę-

puje również w wielkich rozmiarach w pracowniach żydowskich, oraz takich, które pracowały na eksport do Rosji, a obecnie mają zamówienia dla wojska np. firma Kraft.

Pracownice zakładane bez chęci zysków to zn. współdzielne, utrzymywane przez stowarzyszenia humanitarne, nie odczuły również kolei i następstw wojny w tym stopniu, co prywatne. Jak potwierdza to w dalszym ciągu dane o poszczególnych przedsiębiorstwach tego rodzaju, jedne powstały podczas wojny i zatrudniały setki kobiet (Szwalnictwo katolickiego Związku kobiet oraz Koła pracy kobiet) inne, jak Dźwignia z drobnych i podpadających zaczątków rozwinęły się do rozmiarów potężnych organizacji.

Sąd, jaki kierowniczkę tych instytucji wydadają o pracowniach różni się niewiele od opinii wypowiedzianych przez właścicielki i kierowniczki pracowni prywatnych, a mianowicie: nawet podczas wojny każda uzdolniona szwaczka miała zajęcie, natomiast trudniej, niż w czasach normalnych było go dostarczyć setkom, a nawet tysiącom kobiet bez żadnych kwalifikacji i żadnego przygotowania umięjętnego. Te zastępy były bez pracy i cierpiały okropną nędzę.

Tak samo wszystkie rzeczoznawczynie obu kategorii godzą się z tem, że niezbędnem jest stworzyć szkoły lub kursy zawodowe, aby przygotowywać wykwalifikowane pracownice.

(D. c. n.). Dr. Zofja Daszyńska-Golińska.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

Ś. p. Adolf Świda, poseł do Sejmu z okręgu Suwalskiego zmarł nagle na udar serca w Warszawie.

Liczba bezrobotnych robotników polskich w Gdańsku, obywateli w. miasta, wynosi przeszło 300 osób. Położenie robotników polskich jest tam o wiele trudniejsze, niż niemieckich.

Do rządu polskiego rząd francuski zwrócił się z prośbą o objęcie opieki nad obywatelami francuskimi, powracającymi z Rosji przez Polskę.

Kardynałowie Dalbor i Kakowski pojechali na konklawe do Rzymu.

Rada Ministrów obradowała nad polepszeniem bytu pracowników państwowych. W szczególności postanowiono wypłacić im jednorazowy dodatek w wysokości 50 proc. od miesięcznego uposażenia.

Pierwszy synod biskupów prawosławnych w Polsce odbył się w Warszawie.

Pos. Zamojski w Paryżu przyjęty został przez prez. Poincarégo na specjalnej audjencji, która miała charakter serdecznej, bardzo dla Polski zyczliwej i wyzerpującej wszystkie sprawy aktualne rozmowy.

Za mord majora Montallegre, zabitego przez Niemców na Górnym Śląsku, rząd francuski zażąda odszkodowania dla rodziny w wysokości 2 milionów 250 tysięcy franków.

Komisja przygotowawcza do konferencji Genuńskiej rozpoczęła prace pod przewodnictwem p. Antoniego Wieniawskiego.

Rząd francuski, przedłożył rządowi angielskiemu nowy projekt traktatu francusko-angielskiego, w którym domaga się przedłużenia układu na lat 30, oparcia go na zasadzie wzajemności i na porozumieniu sztabów, oraz wciągnięcia w układ gwarancji także dla granic Polski.

Stany Zjednoczone zachowują się jak dotąd odporne w sprawie udziału w konferencji Genuńskiej.

Między Jugosławią a Rumunią zawarta została konwencja wojskowa.

Poincaré uzależnia udział Francji w konferencji Genuńskiej od zapewnienia, że nie będzie tam poruszana sprawa rewizji Traktatu Wersalskiego, i że Rada Najwyższa nie będzie w międzyczasie zwołana.

Lord Grey, b. premier angielski, wygłosił w Central-Hall w Westminsterze mowę polityczną, w której oświadczył się za najściślejszem porozumieniem z Francją oraz przyznał słuszność Poincaré'emu, że dawne metody dyplomatyczne miały wyższość nad szumnymi a nie przygotowanymi poprzednio konferencjami międzynarodowymi. Mowa ta miała w stosunku do polityki Lloyd Georgea charakter wyraźnie opozycyjny.

Prof. Artur Nikisch, słynny muzyk, umarł w Lipsku. Kanclerz Wirth wygłosił wielką mowę w Reichstagu.

Pos. Hlinka zgłosił w Sejmie Praskim projekt autonomji dla Słowaczyny. Prócz Słowaków podpisali ten wniosek także posłowie niemieccy.

Z TEATRU.

Krwawe dzieje półtorawiekowej Kalwarji narodu polskiego przechodzą do historii. Współczesne pokolenie polskie przeżyło tragiczną „wojnę ludów“, lecz zarazem przeżyło i tę wielką wiosnę narodową, o której pisał nieśmiertelny śpiewak „Pana Tadeusza“. A wiosna ta była o tyle szczęśliwszą od Mickiewiczowskiej, że przyniosła narodowi wyzwolenie, a zardzewiałą miecz polski rozblysnął świeżym tryumfem—że to, co było marzeniem ojców i dziadów, stało się rzeczywistością. Pokolenie współczesne ogląda na własne oczy nie tylko wskrzeszenie Rzeczypospolitej, ale i jej rozrost i chwałę.

W szczęściu prędko zapomina się o przeżytych goryczkach, zawodach i bólach. Jednym zaś z takich wielkich i tragicznych zawodów było powstanie styczniowe 1863 r. To też dobrze uczynił dyrektor B. Gorczyński, że dla uczczenia i przypomnienia tej bolesnej pamiętki dał w teatrze im. Bogusławskiego specjalny program rocznicowy, jakby dla zadokumentowania, że dzisiejsze odrodzenie Polski jest dziełem nie tylko współczesności, ale i tych wysiłków, które naród dawał przed nami. A więc otworzyła przedstawienie przemowa dyr. Gorczyńskiego poświęcona wspomnieniu powstania. Potem dany był prolog „Dyktatora“ J. Żuławskiego. Drugi numer programu stanowił jednoaktowy obraz dramatyczny młodego, utalentowanego poety E. Korwin-Małaczewskiego p. t. „Wigilja“, osnuty na dziejach tułaczki polskiego żołnierza pod rozkazami Napoleona. — Wreszcie zamykała program wspaniała pieśń Wyspiańskiego—„Warszawianka“.

Całość programu jakkolwiek tylko w pierwszej części miała za temat dzieje styczniowego powstania, to jednak zarówno „Wigilja“, jak i „Warszawianka“ w zupełności dostrojone były do momentu. We wszystkich trzech utworach tętni serce polskie na nutę bohaterką i we wszystkich trzech utworach leje się krew polska w wojennej burzy z wiarą w zmartwychwstanie.

Opracowanie programu było staranne i wymownie świadczące o wysokim poziomie artystycznym teatru.

Zarówno wystawa, jak i gra artystów były utrzymane na wysokości zadania. Wszyscy artyści, nawet w najmniejszych rolach byli na swoim miejscu i znać było wytrawną rękę reżysera. Nie dziw więc, że na widowni panował nastrój, a po opuszczeniu kurtyny były gromkie oklaski.

A. P.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Marji Reksé p. Świr. Proszę nam wybaczyć zwłokę w odpowiedzi, której powodem był brak miejsca.

Dziękujemy serdecznie za okazaną nam życzliwość, a z przesłanych łaskawie przepisów skorzystamy w najbliższej przyszłości.

Pismo, o jakie Pani zapytuje obecnie nie wychodzi i wogóle w języku polskim niema żadnych wydawnictw w tym rodzaju.

Wzory dajemy w „Bluszczu“, o ile tylko jest to możliwe ze względu na miejsce — naturalnej wielkości, — o ile wzór jest w zmniejszeniu — Sz. Czytelniczki mogą otrzymać na zamówienie za niewielką opłatą wzór powiększony.

Adres „Gazety Rolniczej“ Warszawa — Kopernika 30.

P. Ewelinie Wodzińskiej w Lublinie. Skomunikować się z wygnańcami można jedynie za pośrednictwem Komisji Repatracyjnej, (Warszawa Chmielna 31) tam też należy kierować wszelkie przesyłki, odpowiednio opakowane oraz przesyłki pieniężne.

Osobom mieszkającym na prowincji i nie mającym możności przyjechania do Warszawy radzimy zwrócić się do Komisji Rep. za pośrednictwem Stowarzyszenia, Związku, lub Koła Polek, do którego należą w danej miejscowości.

Wobec nawału korespondencji i braku miejsca w piśmie, list każdy musi czekać swej kolei na odpowiedź — zarzuty zatem Sz. Pani są niesłuszne.

Prenumeratorko Nr. 1226. Bardzo serdecznie dziękujemy Sz. Pani za miłe słowa i zaufanie do nas, wyrażone w Jej liście.

Urządzenie mieszkania w warunkach, o jakich Pani wspomina, jest istotnie rzeczą dość trudną, ale przy dobrej woli i własnym staraniu można bardzo prostymi środkami osiągnąć miłe wrażenie wnętrza wygodnego i estetycznego.

Naturalnie, że najłatwiejsze do zrobienia na miejscu będą meble proste drewniane — o charakterze ludowym, — trzeba jednak wtedy już wszystko do tego stylu dostosować, — bo najgorzej wygląda mieszkanie, lub pokój, w którym meble secesyjne stoją na tle ludowych makat i kilimów.

Zdaje się, że specjalnych podręczników z rysunkami mebli zakopiańskich niema — sądźmy jednak że wzory takie, jak również wzory haftów i kilimy mogłaby Sz. Pani dostarczyć Sekcja Przemysłowa Koła Polek — Warszawa Nowy-Świat 72, która posiada wytwórnię tych rzeczy i chętnie informacjami służyłaby. O ile wiemy, cena kilimów deseniowych wynosi obecnie około 12.000 Mk. za metr kwadratowy, — cena welniaków znacznie niższa.

Otomanę z № 8 Bluszczu można zupełnie domowymi środkami zrobić w ten sposób, — żeby pod ścianą, na zwyczaj-

nych niskich drewnianych nogach postawić duży materac sprężynowy, a zawieszonym nad nim welniakiem, lub kilimem okryć cały tak, żeby welniak leżał aż na ziemi. Zarzucona dużą ilością miękkich poduszek taka improwizowana otomana robi wrażenie bardzo miłe, a zarazem może służyć za łóżko.

Członkinią Koła Polek można być, mieszkając na wsi, jeżeli nie czynna, gdy się w Kole nie pracuje, — to honorową.

P. Irenie Kudelskiej w Bydgoszczy. Bardzo trudno nam jest wskazać Sz. Pani rodzaj pracy wytwórczej, nie znając zupełnie Jej uzdolnień ani zamiłowań.

W rękodzielnictwie prawie niema takiego zajęcia, w które nie trzeba by włożyć choć trochę własnej indywidualności.

W naszych warunkach kilimeciarstwo i kwiaciarstwo mają dzisiaj dużą przyszłość, nie wiemy jednak zupełnie, co w Bydgoszczy byłoby najbardziej poszukiwane i najpopłatniejsze.

Szkół i kursów zawodowych jest dużo w Warszawie: kursy tkactwa, kilimeciarstwa, koszykarstwa i t. d. prowadzi je Tow. Popierania Przemysłu Ludowego — Tanka 1.

Są też szkoły Przemysłowe w Poznaniu na ul. Łąkowej, w Gnieźnie i w Bydgoszczy (Państw. Szkoła Przem. Artyst.) i prawie we wszystkich miastach w Polsce, ale nie wiedząc, jaki kierunek Sz. Pani chce obrać, trudno nam którykolwiek z nich wskazywać specjalnie.

TREŚĆ № 6-go.

† Ojciec św. Benedykt XV — przez ks. prof. W. Michalskiego. Przełom we Francji — przez Irenę Pannenkową. Salon doroczny — przez Jana Żyżnowskiego. Ifigenja — przez prof. dr. Tadeusza Zielińskiego. Przemysłny Porportuk — przez Jacka Londona. * * * — przez M. Kuzmina, przeł. przez Leonarda Podhorskiego-Okolów. W podróżce Europy — przez Jadwigę Marciniowską. Krawczyni i szwaczki chrześcijańskie w Warszawie (ankieta) przez Z. Daszyńską-Golińską. Z Polski i ze Świata. — Z teatru — przez A. P. Odpowiedzi redakcji. — Dodatek artystyczny. — Dodatek powieściowy p. t. „Confitou“ — przez Gastona Leroux, tłumacz. — przez Z. M. W. (ark. 12-ty).

Panienka do dzieci w Warszawie lub na wyjazd
wymagania skromne, dobre referencje.

Adres: Warszawa, ul. Wielka 1 m. 8 u W-nej p. Szuchowej dla A.

Prosimy o szybkie uregulowanie rachunków za prenumeratę.

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE „BLUSZCZU“.

OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „Bluszczu“

miesięcznie - - - - - Mk. 600.—
z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 2000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 175.—

Wszystkich P. P. prenumeratorków prosimy o szybkie nadsyłanie prenumeraty i wyrównania.

REDAKCJA: Nowy-Świat 41. ☎ Telefon 105-22.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2, Koło Polek tel. 239-40.

CENY OGŁOSZEŃ.

1 str. — 1 wiersz nonp.	500 mk.
1/2 str.	75.000 "
w tekście — cała str.	150.000 "
1 wiersz nonp.	400 "
ostatnia strona — 1 wiersz nonp.	250 "
1/2 str.	45.000 "
cała	90.000 "

Firmy zgłaszające ogłoszenia wprost do administracji oraz na kilka razy uzyskują 25% rabatu.

Miejsce 2 wierszowe w „Przewodniku handlowym“, — 1.000 mk. jednorazowo.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „Bluszczu“: Tow. Akc. „Reklama Polska“, Warszawa, Jasna 10, Biuro Ogłoszeń T. Pietraszek — Marszałkowska 115, L. i E. Metzl i Sp. — Marszałkowska 130, Biuro Dzienników S. Ungra — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „Nowa Reklama“, Długa 9 i I. Buchweitz — Marszałkowska 120.